

Hollender, Henryk

"Dzieje nauki polskiej", Maciej Iłowiecki, Warszawa 1981 : [recenzja]

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 27/2, 483-488

1982

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



RECENZJE

Maciej Iłowiecki: *Dzieje nauki polskiej*. Warszawa 1981 Wydawnictwo Interpress 376 ss. 26 tabl.

Dla środowiska specjalistów jest zawsze pewnego rodzaju zaskoczeniem, gdy outsider dokonuje tego, czego oni sami dotąd w kształcie skończonym nie dokonali. Toteż należy spodziewać się, że *Dzieje nauki polskiej* Macieja Iłowieckiego nie zostaną zbyt łaskawie potraktowane przez zawodowych historyków nauki. Fakt, że Iłowiecki mógł już opierać się na *Historii nauki polskiej* pod redakcją Bogdana Suchodolskiego, nie zmienia tu zbyt wiele. W chwili wydania *Dziejów* i w chwili pisania niniejszej recenzji *Historia* jest jeszcze, niestety, ciągle nieukończona. Tymczasem zaś Iłowiecki przedstawił pierwszy współczesny i kompletny zarys rozwoju nauki polskiej. Trzeba by wykryć w tej książce zupełnie elementarne błędy, aby uznać, że w niczym nie wypełnia ona tej luki, jaką po latach wypełni zapewne *Historia nauki polskiej*. Pomijając wszelkie oczywiste i nieoczywiste różnice i podobieństwa między oboma wydawnictwami można odtąd uznać, że historia polskiej nauki została już napisana. Udało się to autorowi pracującemu samotnie, znanemu dotychczas przede wszystkim z twórczości publicystycznej.

I okoliczności powstania, i konkurencyjność *Dziejów nauki polskiej*, zachęca więc krytyków do ostrego wytykania Iłowieckiemu popełnionych błędów. W tej sytuacji paść mogą również zarzuty nieuprawnione. Ponieważ należy przewidywać trudności ze znalezieniem entuzjastów tej książki (od nuty zachwyty wolna będzie i ta recenzja), warto może na wstępie zastanowić się, przed jakimi zarzutami Iłowieckiego powinien chronić sam zamysł pisarski i jego konsekwentna realizacja.

Dzieje zaprzeczają podstawowej, choć chyba niepisanej zasadzie historiografii syntez, aby wszystkie epoki (okresy, style, prądy) traktować z jednakową uwagą. Iłowiecki zachowuje się więc bardziej jak popularyzator nauki współczesnej niż jak historyk, skupia się bowiem na XIX, a zwłaszcza XX w. Byłoby to naganne, gdyby nie było tak łatwe do obrony: mamy przecież do czynienia z takim działem kultury, którego znaczenie wzrosło niepomierne w czasach najnowszych, a w każdym razie — który dostarczył obfitszego materiału źródłowego z ostatnich stuleci niż z dawniejszych. Autor zastrzega się, że dzieje nauki XX w. traktuje selektywnie, a przecież i tak zajmują one wyjątkowo dużo, bo 100 stron w książce liczącej — bez indeksów i przedmowy — stron ponad 300. Ponadto autor zapowiada bardziej wyliczający tryb narracji w części dwudziestowiecznej. Tak — to są prawie same nazwiska i nazwy przedmiotów bądź dyscyplin badawczych! Nazwiska dwudziestowieczne stanowią prawie 50% nazwisk w indeksie osób. Decydując się na tak faktograficzne podejście do materiału, Iłowiecki rzuca wyzwanie ludziom, którzy już to ze względu na własne zaangażowanie w referowane przezeń badania, już to dzięki dostępowi do łatwo osiągalnych dla monografa i niedostępnych dla twórcy syntezy źródeł historycznych zechcą wytknąć mu błędy, zafalszowania, nieusprawiedliwione oceny, przemilczenia i inne potknięcia. Tymczasem zaś te potknięcia są nieuniknione, łatwe do sprostowania i w pewien swoisty sposób nie-

istotne. Bowiem dzieło, choć w tej części tak bardzo rozbite na drobne informacje, nie przestaje być syntezą i tak też należy je czytać. Raczej więc tylko ogólny sąd o rozmaitości kierunków badawczych nauki polskiej, przyswojenie przykładowych nazwisk i typowych problemów naukowych może być efektem lektury tych partii książki. Owszem, wolałbym może, aby np. reaktywowanie Uniwersytetu Warszawskiego jako uczelni polskiej po ewakuacji uniwersytetu rosyjskiego przesunięte było z 1917 (s. 232) na 1915 r., aby wśród historyków sztuki pojawiło się nazwisko Feliksa Koperę, aby wśród dzieł Henryka Łowmiańskiego wymienione były monumentalne *Początki Polski*, aby autor wyjaśnił, cóż to za „polski cyklotron” zbudował rzekomo Andrzej Sołtan w Pasadenie (s. 262), aby listę obecnie działających w kraju filozofów skrócić co najmniej o dwa nazwiska, ale są to sprawy albo drobne, albo subiektywne. Być może Iłowiecki chciał, byśmy na ten rozdział patrzyli jak na mozaikę lub na zdjęcie zrobione przez raster — z daleka, aby uogólnienia, których on nie potrafił dokonać lub przed którymi się powstrzymał, dokonały się niejako automatycznie w mózgach czytelników. Zamiar trudny, sukcesu tą metodą nie odniesie chyba nikt, rozdział o nauce dwudziestowiecznej czyta się w mękach, ale upieram się, że Iłowiecki miał prawo pójść tą drogą i wobec tego nie można go rozliczać tak, jak rozlicza się autora encyklopedii czy słownika biograficznego.

W ogóle *Dzieje nauki polskiej* są pracą popularną, co wymaga stosowania po trosze innych kryteriów ocen. Przykładając do książki miarkę dziennikarską można by stwierdzić, że napisana jest wyjątkowo niepowabnym stylem, że takie zagęszczenie nawiasów nie powinno się pojawiać w wygładzonym do druku tekście, że „literackie” tytuły podrozdziałów jak *Gleba* (s. 36) źle współbrzmia z oschłym, nieco banalnym słownictwem całości. Mimo to, *Dzieje nauki polskiej* spełniają wymogi dzieła popularnego. Mamy tu bowiem i doprowadzony do ostatnich lat, taktowny i sprawnie zmontowany obraz dokonań uczonych Polski niepodległej, i historię nauki, od Średniowiecza do czasów zaborowych, opartą o standardową literaturę przedmiotu. Przede wszystkim zaś podziwiać należy umiejętności koordynacyjne i konstrukcyjne autora. Dejęzja rozpoczęcia *Nauki w czasach niewoli* od represji paskiewiczowskich (co pozwoliło dociągnąć *Oświecenie* jak trzeba do powstania listopadowego), omówienie dokonań antropologii w całości w XX w., odsyłanie od nazwiska postaci wymienianej przy jakiejś okazji do miejsca, w którym przedstawiono ważniejsze jej dokonania — to różnej rangi przykłady panowania nad całym ogromnym materiałem.

Funkcje dzieła popularyzatorskiego splatają się jednak z funkcjami propagandowymi i tu rodzić się może sprzeciw wobec założeń, które autor sobie postawił, lub którym uległ. Pisząc dzieje nauki polskiej dla Polonusów, pisał też i jej apologię. Stąd oczywiście gorliwe przyznawanie Polakom pierwszeństwa wszędzie tam, gdzie im się je niesłusznie odbiera w opracowaniach zachodnich. Słusznie czy niesłusznie — spory o pierwszeństwo pachną sportem (bo już dla samych uczonych to bywała sprawa życia i śmierci) i genetycznymi igraszkami historiografii sprzed wieków. Im szybciej dla współczesnego czytelnika sprawa pierwszeństwa jako problem generalny straci znaczenie — tym lepiej. Wynalezienie czy odkrycie tej samej rzeczy w dwóch różnych kulturach nie było wynalezieniem tej samej rzeczy. Historyk czy naukoznawca zachodni pomija dokonania polskiego uczonego niekoniecznie z powodu złej woli i nie tyle z niewiedzy, co dlatego, że w charakteryzowanym przez niego środowisku funkcjonowały na ogół inne dokonania innych uczonych. Nie wątpię, że Iłowiecki jest tego świadomy, w każdym razie zawsze stara się podać informacje o recepcji prac Polaków w Europie, kiedy tylko coś o niej wie. Czytelnik powinien sam rozumieć, że w wielu wypadkach tej recepcji nie było, czy to jednak wystarczy dla ostudzenia rozbudzonej megalomanii?

Propagandowym zadaniom wydawnictwa — a także kumulatywistycznemu punktowi widzenia, zgodnie z którym podstawą do oceny rozwoju historycznego jest sytuacja współczesna — zawdzięczać należy zapewne dużą liczbę szkół, które stworzyli według Iłowieckiego polscy uczeni oraz wszystkie superlatywy, na które nie powinno być miejsca w tak zwartym tekście. Często dochodzi do stwierdzeń po prostu ahistorycznych, jak np. „[...] już w Średniowieczu miała nauka polska sukcesy w skali europejskiej” (s. 13), w Lesznie „[...] wykształcał się nowoczesny już sposób pracy naukowej — wspólne działanie w zespołach uczonych różnych specjalności” (s. 67), Wojciech Oczko „[...] zapoczątkował rozwój balneologii” i pisał w języku ojczystym „wbrew tradycji” (no a Ambroise Paré? — s. 56). Czy w ogóle tego typu dzieło może zadośćuczynić rygorom historyzmu — to inna sprawa, wróć do niej za chwilę. Na razie składam to wszystko raczej na karb manieri piarskiej, będącej zapewne pozostałością po wszystkich fanfarach lat siedemdziesiątych. Iłowiecki zdążył tylko skwitować ich polityczne zamknięcie w dwóch przypisach (s. 247, 251); partie traktujące o organizacji nauki w Polsce współczesnej pełne są np. zupełnie absurdalnie dziś brzmiących informacji o problemach węzłowych itd.

Z drugiej strony popularyzatorska czy nawet propagandowa nośność opracowania zwiększyłaby się, gdyby Iłowiecki podawał wiadomości, które czytelnik mógłby wykorzystać w trybie samokształceniowym. Jest przecież w Polsce kilka muzeów o charakterze historyczno-naukowym i kilkanaście technicznych, medycznych i rolniczych. Nawet jeśli Iłowiecki zastrzegł się, że nie będzie pisać o dziejach techniki i medycyny, to kto wie, czy nie należało wygospodarować odrobiny miejsca na wysłanie czytelnika do tych placówek. Niektóre z nich, choć nie poświęcone wprost nauce, pozwalają dostrzec silne związki wiedzy praktycznej z nauką. Tak było np. z farmacją, której potencjał intelektualny zasilił w XVIII w. kształtujące się dopiero dyscypliny biologiczne. W XIX w. z kolei każdy lekarz był potencjalnym przyrodnikiem. Iłowiecki w ogóle poświęca mało miejsca tym wątkom, a przecież mogłyby one poruszać wyobraźnię tego czytelnika, któremu obcy jest skromny zasób terminologii naukowej, używanej przez autora. Na tej samej zasadzie wartoby uwypuklić znaczenie Jana Heweliusza jako edytora własnych obserwacji astronomicznych. Wyobraźnia uczonego, jego zmysł artystyczny, drukarskie zamiłowania i umiejętności konstrukcyjne mogłyby okazać się najlepszym kluczem do zrozumienia jego pozycji w dziejach siedemnastowiecznej nauki. Iłowiecki pisze wprawdzie o obserwatorium Heweliusza, o jego pracowitości i pomysłowości, ale to za mało, to trzeba — i da się — pokazać. Bądź w książce — poprzez bardziej urozmaicony dobór ilustracji i obszerniejsze do nich wyjaśnienia, bądź poprzez odesłanie do istniejących, dostępnych powszechnie zbiorów. (Jeśli chodzi o Heweliusza i o propagandę polskiej nauki, to Gdańsk, oczywiście, powinien być pełen pocztówek z reprodukcjami jego prac.) Nawet dokonania niektórych matematyków można było uplastyczyć; nasuwa mi się tutaj niezwykła wyobraźnia praktyczna Hugona Steinhausa, który nie tylko — o czym autor pisze — specjalizował się w zastosowaniach matematyki, ale także — o czym nie wspomina — umiał nadawać formę matematyczną zjawiskom zaobserwowanym w otaczającej rzeczywistości.

Niezależnie od propagandowych zadań dzieła, i tam, gdzie propaganda mogła się lepiej przysłużyć popularyzacji, i tam, gdzie przysługa okazuje się raczej niedźwiedzia, Iłowiecki stara się być pisarzem obiektywnym. Widać to wyraźnie np. w sposobie, z jakim traktuje nurt chrześcijański w nauce współczesnej, z przyrodnictwem włącznie, czy reformatorskie dokonania zakonów osiemnastowiecznych — nie tylko pijarów. Tym łatwiej zauważalne są pewne przypadkowe chyba braki, jak np. pominięcie zasług cystersów we wciąganiu Polski w europejski

krąg cywilizacji technicznej czy informacji o znamienym braku wydziału teologicznego w krakowskiej uczelni w r. 1364. Jeśli jesteśmy już przy religii: należało konsekwentnie podawać wyznanie uczonych aż do końca XVIII w.; ewangelik to za mało, różnice kulturowe między luteranymi, kalwinami i innymi wyznaniem protestanckimi byłyby większe niż dogmatyczne czy liturgiczne.

Iłowiecki oddaje sprawiedliwość scholastyce (s. 93), choć zupełnie niepotrzebnie wcześniej każe Witelonowi przeciwstawiać się jej „dogmatom” (s. 20). Ależ Tomasz i Witelo byli rówieśnikami, a mogliby być i przeciwnikami filozoficznymi, gdyż pierwszy reprezentował nurt arystotelesowski, a drugi neoplatonicki. O dogmatach scholastyki, jeśli miało to oznaczać skostnienie, mowy wówczas być nie może. W zwalczaniu scholastyki nie można też dopatrywać się wtedy jakichkolwiek znamion postępowości. Neoplatonizm Witelona miał ponadto znaczenie dla faktu, że rozwijał on optykę — naukę o świetle. Takie inspiracje filozoficzne Iłowiecki na ogół pomija, cechuje go zbyt współczesne motywowanie zainteresowań naukowych omawianych postaci. A przecież ślady neoplatonizmu znajdziemy i u Kopernika, kierującego swoją uwagę ku Słońcu. Podobnie — jeszcze raz Witelo — nieprzekonywująco brzmi rekonstrukcja stosunku Słazaka do demonów, tym bardziej, że Iłowiecki odstrasza czytelnika powołaniem się na pracę pisaną w latach pięćdziesiątych bieżącego stulecia. Mniejsza o ową racjonalistyczną i scjentystyczną tendencyjność, pewnych rzeczy w ogóle nie można wyjaśnić w sposób popularny i zwięzły i wtedy lepiej nie wyjaśniać wcale. W *Dziejach* jest stanowczo za dużo skomplikowanych problemów, formułowanych i rozwiązywanych w kilku wierszach. Gdyby autor zostawił sobie więcej miejsca na wszechstronnejsze naświetlenie kwestii zasadniczych, mógłby np. szerzej potraktować zjawisko fascynacji nauką w XIX w., zwłaszcza w kręgach związanych z ideologiczną lewicą.

I jako popularyzator i jako autor syntezy Maciej Iłowiecki próbuje nam jednak przekazać pewne ogólniejsze stwierdzenia o specyfice nauki polskiej. Należy te uświadczania docenić, tym bardziej, że niektóre z nich zaowocowały dobrymi wstępnymi czy podsumowaniami (np. *Oblicze epoki* — wstęp do *Oświecenia*, s. 100—114). Niekiedy jednak brzmi w nich owa znajoma nuta po trosze megalomańska, po trosze martyrologiczna. Czy rzeczywiście Polska stałaby się krajem przodującym w Europie, gdyby nie katastrofa rozbiorów (s. 111)? Wolno i warto snuć takie rozważania, ale wizja wracającego do zdrowia państwa polskiego, jaką przekazuje autor, jest jednak zbyt centralistyczna — brakuje tu politycznej, gospodarczej i kulturalnej inicjatywy oddolnej, brakuje owego „ducha gminy”, o którym tak przekonująco pisał Alexis de Tocqueville i bez którego cuda by się raczej w Polsce nie wydarzyły. Dalej, czy uczeni polscy w XIX w. pracowali rzeczywiście w aż tak ciężkich warunkach? Tak, na pewno, ale jednak nie obwarowanie tego spostrzeżenia uwagą, że w tamtym stuleciu we wszystkich krajach wybitnym jednostkom zdarzało się prowadzić pionierskie badania bez katedry i bez środków — może doprowadzić do mylącego przeakcentowania. Polskie ubóstwo i niedostateczne społeczne poparcie dla uczonych — to jedna sprawa, a ogólny rytm instytucjonalizacji nauki — to druga.

Jeszcze większy protest budzi charakterystyka tych tradycji nauki polskiej, które autor uważa za godne szacunku (s. 13—14); zgoda na szacunek, ale czy to są rzeczywiście cechy nauki polskiej? Ścisły związek z dziejami narodu? Sąd nie do potwierdzenia i nie do obalenia. Otwartość i tolerancja, przywiązanie do swobody myśli? Coś jednak trzeba zrobić z hipotezą przypominaną przez Janusza Tazbira, iż polska tolerancja jest pochodną polskiego indyferentyzmu, nawet jeśli — w ślad za Tazbirem zresztą — uważa się ją za bezzasadną. Czy miałoby to zresztą oznaczać, że w jakimś konkretnym kraju nauka była mniej tolerancyjna? Nie widzę sposobu na uzasadnienie takiego zdania, może to raczej dotyczyć mecenasów nauki.

Ścisłe podtrzymywanie związków z nauką światową? Pewnie, tam gdzie tych związków nie było, tam nie było i nauki. Wielowątkowość i różnorodność własnych idei i poczynań? To można tłumaczyć właśnie brakiem okrzepłych tradycji naukowych.

Trudno byłoby spierać się o te nieprecyzyjne tezy. Spór ten nie jest jednak niezbędny, gdyż nie dotyczą one bezpośrednio nauki. Dotyczą społecznego, duchowego klimatu jej uprawiania.

Dochodzimy tu do kwestii zasadniczej — czy dziejów nauki dotyczy w ogóle cała książka. Zwróćmy uwagę, że większość omawianych odkryć czy teorii nie została przez Iłowieckiego przedstawiona od strony ich miejsca w procesie rozwojowym nauki, lecz od strony czynników społecznych, sprzyjających bądź nie sprzyjających ich zaistnieniu. Autor zatrzymuje się nieraz w pół kroku przed wyjaśnieniem czytelnikowi istoty poznawczej jakiegoś dokonania. Rozumiem, że popularny wykład i ogólny zakres tego opracowania zdecydowały o niemożności wprowadzenia czytelnika w tajniki wewnętrznego rozwoju nauki. Ale niekiedy oznacza to dotkliwe zubożenie, zwłaszcza gdy referowane są osiągnięcia wysokiej rangi, zanurzające naukę polską w nurcie dziejowym nauki powszechnej. „Zajmował się przede wszystkim stosunkiem klasycznej termodynamiki do kinetyczno-molekularnej teorii materii” — pisze Iłowiecki o Marianie Smoluchowskim (s. 171). Biedny czytelnik, cóż mu to mówi? Tutaj na prawdę trzeba było walczyć o przystępne przedstawienie dramatycznego sporu, w jaki uwikłał się lwowski fizyk. Tym bardziej, że tuż obok (s. 170) autorowi udaje się chyba pokazać z bliska przełomowość odkryć Marii Curie-Skłodowskiej. Być może zresztą to akurat stałoby nieco łatwiejsze zadanie.

Wysiłki Iłowieckiego w kierunku rekonstrukcji trwałych tradycji nauki polskiej są skazane na niepowodzenie, gdyż nie rekonstruuje on w ogóle żadnych wyrazistych tradycji naukowych, rekonstruuje tradycje kulturalne społeczeństwa uprawiającego naukę. Odsyłając wciąż do społecznego tła nauki, nasycy swą historię powiązaniami synchronicznymi; diachronii dostarcza mu dopiero ciągły nurt dziejów społecznego narodu. Czy spójna narracja diachroniczna byłaby tu jednak w ogóle możliwa? Dla syntezy nauki powszechnej — tak, w każdym razie dla przyrodniczoznawstwa. Wierzmy bowiem, że istnieje wewnętrzna logika rozwoju nauki. Ale nauka regionalna raz w tym nurcie uczestniczy, raz nie — wykres jej rozwoju nie jest kopią wykresu rozwoju nauki powszechnej. Gdyby Iłowiecki chciał przydać większe znaczenie związkom nauki polskiej z nauką powszechną, nie zdołałby bynajmniej wypreparować żadnych lokalnych tradycji rozwojowych i również skazałby się na ujęcie synchroniczne.

Tak więc autor stanął przed zadaniem bardzo trudnym w sensie metodologicznym. Dzieje nauki polskiej — to formuła wewnętrznie sprzeczna; nauka polska nie ma dziejów nadających się do potoczystej rekonstrukcji, im bardziej staramy się nadać jej taką interpretację, tym bardziej oddalamy się albo od „polskości” owej nauki, albo w ogóle od nauki. Iłowiecki przemykał się między tymi skrajnościami, zbliżając się stosunkowo najbardziej do ostatniej. Przemykać się będą między nimi także jego następcy — włącznie z tymi, którzy, nie zobowiązani do wykładania na poziomie popularnym, uzyskują nieco szersze pole manewru.

Obok problemów nierozwiązalnych pisanie i publikowanie książek nasuwa również całą masę problemów rozwiązalnych. Niestety, i przed nimi ugięło się Wydawnictwo Interpress. Liczne błędy i literówki nie zostały sprostowane w erracie. Niektóre daty urodzenia i śmierci nie trafiły do czekających na nie miejsc między nawiasami. Nie przyjmujemy do wiadomości, że nie można ustalić takich dat w odniesieniu do uczonych działających w XX w. Jest oczywiste, że autor nie powinien się tym zajmować, wydawnictwo o ambicjach ambasadorskich stać

jednak chyba na sfinansowanie mu researchera. W wypadku cytowania tytułów wydawnictw powinno się podawać roczne daty publikacji. Z innych powodów jest to ważne w okresie staropolskim, z innych — w XIX i XX w., gdy sytuacja w nauce, np. jak w latach 1905—1914, zmienia się z roku na rok. Jeśli zaś książka ma rzeczywiście stanowić towar eksportowy, można mieć nadzieję, iż przynajmniej te łatwe do usunięcia usterki znikną w zapowiadanych edycjach obcojęzycznych.

Henryk Hollender

(Warszawa)

Waldemar Voisé: *Europolonica*. Monografie z dziejów nauki i techniki: tom CXXIV. Wrocław 1981 Zakład Narodowy im. Ossolińskich ss. 148.

Opera minora Waldemara Voisé, które składają się na recenzowany tomik, stanowią niewątpliwy sukces wydawniczy ich autora i szacownej oficyny Ossolineum. Książka wydana jest estetycznie, na obwolucie rycina kartograficzna z dawnych wieków, oryginalny tytuł zaciekawia. Waldemar Voisé, wybitny znawca dziejów myśli społecznej i filozoficznej XVI i XVII wieku, ma w swym dorobku szereg monografi książkowych i wiele artykułów drukowanych w różnorodnych czasopismach naukowych w kraju i zagranicą, niektóre z nich powstały z okazji sesji naukowych i kongresów jako referaty, a potem trafiały do wydawnictw pokongresowych lub pism specjalistycznych. Wybór więc nie był łatwy, toteż zawsze podlegać może krytyce. Jedno jest niewątpliwe. Prezentowane studia traktują o polskiej obecności w myśli społecznej i naukowej Europy. Stanowią więc próbkę reprezentacyjną jednego z podstawowych nurtów badań i dociekań autora. Mówi o tym rozwinięty podtytuł: *La circulation de quelques thèmes polonais à travers l'Europe du XIV au XVIII siècle*. Różnorodna tematyka studiów układa się w pewien ciąg logiczny, którego ogniwa łączy ów nadrzędny cel.

Zaletą publikacji — nie pozbawiona jednak słabych stron — jest jej wielojęzyczność. Wśród czterestu rozpraw, które składają się na ten tomik, 7 napisanych jest po francusku, 3 po niemiecku, 2 po angielsku i 2 po włosku. Zachowano bowiem ich oryginalną, pierwotną wersję. Czy słusznie? Wielojęzyczność stanowi pewien próg do pokonania nie tylko dla polskiego recenzenta, ale też i dla cudzoziemskiego czytelnika, dla którego przeznaczona jest przede wszystkim publikacja i do niego trafić winna. W kręgach uczonych zainteresowanych podobną, co Voisé, tematyką przyjęty jest język francuski. Wydaje się, że książka byłaby bardziej jednolita, gdyby ograniczyła się do jednej, a najwyżej dwujęzycznej wersji. Ponieważ jednak użyłam wyrazu „zaleta”, muszę go również uzasadnić. Zaletą jest, iż polskiego wydawcę stać na wielojęzyczną publikację, że autor jej również obraca się swobodnie na tak rozległym obszarze językowym, że do tematyki doбира właściwy język jej źródeł (Niemcy, Włochy). Być może przyznać nawet trzeba, iż zalety tej wielojęzycznej panoramy tematów dominują.

W książkowej reedycji drukowanych już poprzednio artykułów czy referatów liczyć się należy również z innym niebezpieczeństwem. Pierwotny ich druk wiązał się już to z kongresem tematycznym, już to z publikacją o określonym profilu naukowym czy też z okolicznością rocznicową. Były więc one wmontowane w wydawnictwo zbiorowe, występując w kontekście innych rozpraw, w klimacie i środowisku określonym całokształtem zamierzeń zespołowych. Gdy te same prace, w oderwaniu, trafiają do książkowego wyboru jako *opera minora* ich autora, tracą poprzedni charakter, im właściwą rolę, zaczynają odmienne samodzielne życie w innym układzie i poddają się innym kryteriom ocen. Łączy je osoba twórcy